

SPADKOBIERCA SKARBÓW OJCOWSKICH

Opowiadania dla młodzieży
na tle przeszłości





M.K.

1739

MAŁA BIBLIOTECZKA.

A. Szczęsny.

Spadkobierca Skar- bów Ojcowskich.

Opowiadanie dla młodzieży na tle przeszłości,



WARSZAWA.
Nakładem Księgarni Popularnej.

1908.

2 k. il. kolor.



399755/
92

884-93

2/352/92

Henryk z Góry

opowiadanie dla młodzieży na tle przeszłości.

Któreż dziecko nie zapytuje skąd pochodzi choinka, któreż nie myśli o tych pięknych lasach iglastych, gdzie ona rośnie, kiedy zbliża się Boże Narodzenie, wszystkie drzewa straciły już dawno swoje liście, a tylko choinka i nieliczne inne drzewa iglaste zachowują swoją zieloną szatę. Dziecko, rozradowane świętami, myśli, że sama ziemia, na której boże drzewko rośnie, jest tajemnicza i święta. I dziecko wypytuje, wypytuje o wszystkie baśnie, gdzie jest mowa o drzewkach bożych, o takich drzewkach, które rosły kiedyś w głębi zamkowych podwórców, gdy na górach były wspaniałe i groźne zamki a zbrojni rycerze wyjeżdżali z nich na łowy lub na wojny w kraje dalekie.

I gdy coraz bardziej zbliża się czas Narodzin Bożych, gdy wieczory są coraz dłuższe i gdy coraz silniej bije dzieciom serce z ciekawości do niespodzianek świątecznych,—coraz częściej wypytują się one

wtedy o baśni, opowieści i klechdy, które mają swoje mieszkania w lesie, wysoko na szczytach ogromnych choinek. Bardzo prędko zbiega dzieciom czas przy takich opowiadaniach. A gdzież w naszym kraju rodzinnym jest takie miejsce gdzieby nie było bezdrzewek i gdzieby nie opowiadały o przeszłości stare zamki, wielkie lasy, lub duże jeziora? Na brzegach rzek, na wzgórzach i na skałach wszędzie są miejsca, do których przywiązane są piękne miejscowe podania i gdzie rzeczywiście wymowny bajarz zawsze znajdzie chętnych słuchaczy, szczególnie wśród dzieci, gdy na dworze śnieg pada i wiatr hula po świecie.

Wiem to z własnego doświadczenia, bo gdy jeszcze był dzieciakiem, to sam robiłem cudowne odkrycia wśród murów mojej okolicznej ruiny zamkowej, zagłębiałem w głąb zawalonych piwnic, które lud nazywał mieszkaniem diabła, lub też roiłem sobie opowiadania o ogromnych wężach, które zamieszkiwały smocze jamy, a ponieważ wiem że dzieci chętnie przysłuchują się starym ojczystym podaniom i baśniom, że, pomimo wielu nowych rzeczy, nie zapominają o starych historjach swojego kraju, dlatego to chętnie zabieram się do opowiedzenia dawnej historii, jaka się działa w stronach mojego dzieciństwa, w miejscu, skąd miałem jako malec moje radosne bieżące drzewka.

Drzewka te rosły na górze zamkowej między murami i zwaliskami kamieni, na które gdy się stąpnięło, to dźwięczały, jakby pod nimi były lochy ogromne, a starzy ludzie mówili, że w lochach tych zake-

pane było bardzo dawne wino, tak dawne, że beczki się rozpadły i wino trzymało się we własnej skorupce gęste jak oliwa. I mówili ludzie, że kto się tego wina napije, to, jeśli był stary, twarz jego okraśli młodzieńczy rumieniec i raz jeszcze swoją młodość przeżyje. A gdy zapytywano skąd to było wiadome, i kto widział wino we własnej skorupce, to wtedy się słyszało, że bardzo dawno przychodził do wsi staromodnie ubrany człowieczek w bucie jednym czerwonym a drugim żółtym i ten ludziom opowiadał o winie i piwnicach.

W stronie mojego dzieciństwa prawie do stóp góry zamkowej dochodziła dawniej wieś, leżąca w dolinie, a znacznie dalej znajdowało się miasto, którego nazwisko nie dochowało się już w powieści. U stóp góry zamkowej, w kilkudziesiąt lat po najazdach szwedzkich, stał mały domek, pierwszy z wioski, w którym mieszkał owczarz Maciej, z jedyną córeczką Elżbietą. Domek był jednym z niewielu jakie ocalały pośród ciągłych wojen i zamieszek, gdy to dzisiaj szwedzi, jutro znów węgry przeciągając przez wioskę niszczyli ostatni dobytek włościan. Biedny ludek ciągle był rozpędzany jak stado owiec przez wilków. Owczarz Maciej pamiętał, jak przerażony, rad był że uchodził z życiem do lasu. Z tamąd widział on płonące naokoło wsie i aż do jego uszu dochodził krzyk nieszczęśliwych ludzi, którzy się zostali we wsi, by cokolwiek ze swego dobytku uratować. Coprawda próżne to były chęci. Mogli się wieśniacy przy rabunku zostać lub też odejść, gdyż i tak ich obecność nie przeszkadzała zabranii ostatniego barana lub kury.

Po takich rabunkach cóż mogło ludzi utrzymać na ich zniszczonej ziemi. Na odbudowanie się nie było czasu ani pieniędzy, na zasiewy nie zostało się ani garści ziarna, to też wielu ojców rodziny brało kiję wędrowną w ręce i wychodzili ze swojej wsi rodzinnej na wędrowkę szukać miejsc mniej przez wojnę nawiedzonych. Dzieci zostawały się na łasce losu, synowie zaciągali się do szeregów walczących i gdy przychodził wreszcie gorąco upragniony pokój, w wiosce znajdowała się najwyżej trzecia część poprzedniej ludności.

Owczarz Maciej, bardzo przywiązany do swej wsi, doskonale ukrywał się w czasie tych niepoko- jów w lesie i gdy wróciły czasy spokojne i odezwały się znów dzwony wioskowe wrócił do wsi z powro- tem ze swoją córką i wzięwszy sobie do pomocy wyrostka zaczął jak mógł gospodarzyć i hodować owce które mu ocalały.

W miarę jak powiększało się stado, powiększał się i dobrobyt w domku i gdy córka Macieja, Elżbie- ta, tak już podrosła, że mogła się zająć gospodarstwem domowym, wtedy było Maciejowi zupełnie dobrze w małym domku swoich rodziców, czy to na górze u źródła w zaroślach dzikich róż, między którymi rosły poziomki a jeszcze lepiej wśród murów zamkowych, z kądem widać było szeroki widnokrąg, aż do mglistych łańcuchów gór.

Gdy kto chciałby się teraz dostać do źródła na wzgórze, musiałby iść ścieżką między uprawnemi po- lami, lecz wtenczas było to zbyt ciężkie. Gęste krzaki i chwasty zarastały całą górę, las szerokimi pasami

rozchodził się ze wzgórza i otaczał naokoło wioskę i tylko gdzieś widać było płaszczyzny zamieszka- łych miejsc w dolinie, a między zaroślami i lasem znajdowały się na nizinach łąki.

Najlepiej lubił owczarz Maciej paść swoje stado na górze zamkowej, z kądem widać było wioskę i daleki obszar kraju rodzinnego. Gdy się tam kiedyś znajdo- wał w gorący dzień i spoglądał na okolicę, za- laną blaskiem słonecznym, a jaskółki wesoło latały nad jego głową, wyszedł z lasu i zbliżył się do niego jakiś nieznajomy i zaczął się wypytywać go o górę i o jej przeszłość i prosił o opowiedzenie wszystkie- go co tylko Maciej o tem wiedział. Nieznajomy ki- wał przytem głową, jakby to wszystko znał już daw- no, a tylko chciał sprawdzić słowa pasterza.

Tak czynił to ten człowiek całymi dniami, na- wet tygodniami, aż wreszcie pasterz znużył się opo- wiadaniem, gdyż już mu zabrakło wątku. Lecz nie- znajomy był niestrudzony, prosił on Macieja o dalsze opowiadania jak dziecko prosi czasem matkę o czę- sto powtarzaną bajkę. A gdy Elżbieta przynosiła ojcu obiad, wypytywał się i jej, i z jej ust opowiadania o górze zamkowej zdawały się nieznajomemu jeszcze bardziej zajmującymi.

Tak przeszły całe miesiące, aż kiedyś zapytał się Maciej:

— Ale z kądem wy panie pochodzicie i gdzie chcecie się z kądem udać?

— Jestem znikąd i nigdzie się nie oddałem, — odrzekł nieznajomy. — Chcę się tutaj zostać dopóki mi życia starczy, zbuduję sobie na górze zamkowej

— — —
chatkę i będę żył z tego co w lesie rośnie, a gdy zapragnę chleba, to udam się do wsi i przyniosę sobie zapas żywności.

Maciej wstrząsnął na to głową i odrzekł; — tak, jest to możliwe dopóki w lesie są poziomki, dopóki skowronki śpiewają i w trzosie są pieniądze, lecz gdy to wszystko się wyczerpie i zima przyjdzie cóż będzie wtedy?

— Mam i na to radę—odrzekł nieznajomy—wtedy zamieszkać we wsi i codzień będę chodził na moją górę, dlatego że moją jest ta góra i zdaleka do niej przyszedłem.

Maciej nic na to nie odpowiedział, lecz pomyślał sobie, że nieznajomy jest niespełna rozumu, jednakże rozmawiał chętnie z dziwnym człowiekiem, który się nazwał panem góry zamkowej i gdy jednego dnia nie zobaczył go jak zwykle, zasmucił się. Nieznajomy nie zjawił się na drugi i trzeci dzień i Maciej napróżno się za nim oglądał, i napróżno zapytywała o niego Elżbieta, która poszła, nucąc, do źródła na górze. Gdy Elżbieta doszła do źródła i spojrzała w wodę jak w zwierciadło, to wydało jej się jakoby ujrzała tam twarz nieznajomego, lecz tak bladą i zachmurzoną, że zatrwożyła się wtedy, zerwała kwiat rumianku rosnący nad strumieniem i obrywając listki mówiła do siebie: — mogę czy nie mogę — i gdy ostatni listek upadł ze słowem mogę, — zwróciła się znów ku górze zamkowej. Wdrapała się na wysoki wał zamkowy, chwytając się rękoma za krzaki i stanęła wreszcie zadyszana na wysokości niskich murów zamkowych. — Gdzie ja go znajdę? —

Stary Maciej zdzieciniał już zupełnie. Jego mętne spojrzenie, siwy włos i zgarbione barki wróżyły mu prędki spokój wieczny. I stało się tak za nadejściem jesieni. Elżbieta stała się jeszcze cichszą i bardziej milczącą.

Wkrótce potem przyszły i przeczuwane złe czasy. Zbiory zaczęły niedopisywać, owce się pochorowały i zdychały prawie na rękę właściciela. Wkrótce pasterz został się sam. Filuś wył z nudy w swojej budzie, a gdy go puszczono obiegał górę, jakby szukając zaginionego stada.

Powoli zaczęły dochodzić i do wsi wiadomości o nowej strasznej wojnie, a przynosili je rozpedzeni po całym kraju mieszkańcy popalonych miast i wsi.

Całymi dniami oczekiwał teraz Henryk przybyśków, a gdy ich zdaleka dojrzał, śpieszył naprzeciw i wypytywał. I im wieści były straszniejsze i bardziej żałobne, tym bardziej stawał się on milczącym i zamkniętym.

A gdy z nowym rokiem rozległy się po całym kraju głosy, powołujące do obrony przed potężnym wrogiem, jak kiedyś przeciw turkom, wtedy widziała nieraz Elżbieta łzę w oku swego męża, gdy szedł na zamkową górę, aby jego płaczu nie widziało żadne szyderskie oko.

Jak długo mogła tak długo znosiła biedna Elżbieta zmianę jaka zaszła w jej mężu, lecz gdy kiedyś szła przez wieś i zobaczyła oficerów królewskich werbujących przy odgłosie bębna młodzież, zawróciła

i poszła na górę zamkową, gdzie znajdował się wtedy Henryk. Tam zobaczyła go leżącego pod drzewem i patrzącego daleko na południe, gdzie horyzont čmił się od dymu pożarów. Zdawał się jakby zamyślony i gdy ją zobaczył, tak się zdziwił i przeraził jakby ujrzał ją po raz pierwszy.

— Henryku — rzekła Elżbieta, — a głos jej był silny i spokojny. Wziąłeś mnie za żonę wiele lat temu, gdym była córką pasterza, a ty byłeś potomkiem dumnego rodu. Byłeś wtedy zmęczony światem i chciałeś u nas znaleźć spokój. Teraz, gdy cię znów pociąga świat daleki nie mogę się zatrzymać. Gdy będziesz znużony, wrócisz tu znów. Lecz zostaw mi naszego chłopca, będzie on się uczył odemnie spokoju i wytrwania.

Henryk wracał przez ten czas jakby z odległej krainy marzeń i przy ostatnich słowach żony zarumienił się.

— Jesteś lepszą Elżbieto, niż cię sądziłem, — rzekł, — lecz ja nie mogę być innym. Nie mogę się oprzeć chęci pójścia w świat. Gdy byłem pasterzem, codzienny mój trud nie pozwalał mi wiele myśleć nad tem, lecz teraz gdy jestem beczynny, obudza się znów we mnie nie przemożona chęć odejścia daleko. Muszę coś uczynić, aby odzyskało moje imię dawną świetność, a wtedy wrócę tutaj, ujrzysz mnie znów wesołym i będziemy żyli szczęśliwie jak za dawnych dni.

Gdy Henryk z Elżbietą powrócili do domu, Henryk zdjął swój strój pasterski i oddał go żonie,

zapytywała się przytem siebie — i czy jest potrzebem abym go szukała? Jednakże litość przewyciężyła w niej i po cichu weszła Elżbieta w zarośla jakie otaczały źródło na górze.

Wszystko tam było spokojnie. Woda płynęła czysta i jasna, a ważki unosiły się nad jej powierzchnią pod cieniem gęstych gałęzi. Tam gdzie krzaki były najgęstsze stała pleciona z gałęzi chatka, której drzwi, wychodzące na trzy strumienia, były otwarte. Gdy Elżbieta spojrzała do wnętrza przekonała się że nie omyliły ją przecucia. Nieznajomy tak blady, jakim go widziała w strumieniu, leżał na posłaniu z mchu. Nie odpowiadał on na żadne zapytania, a ręka której dotknęła Elżbieta była zupełnie zimna.

— Ach Boże, on umarł! — rzekła przerażona dziewczyna, lecz w tej chwili zdało jej się, że chory lekko oddycha. Wtedy jak strzała pobiegła coprędzej do ojca i opowiedziała mu to wszystko co widziała, prosząc o pomoc dla nieznanego.

Maciej poruczył córce pilnowanie stada i udał się sam na górę. Za dobrą chwilę zobaczyła go córka jak schodził ostrożnie z powrotem, niosąc na plecach chorego. Widziała jak, schylając się pod ciężarem, udał się najbliższą drogą do domku ich nad strumieniem a potem raz jeszcze wrócił do lasu. Po chwili ująła jak wyniósł stamtąd torbę i kij nieznanego, lecz Elżbietę ucieszyło najwięcej to, iż ojciec niósł jakieś zioła. Wiedziała, że Maciej ma sposoby leczenia ziołami i uwierzyła w powrót do zdrowia chorego.

Po zamieszkaniu w chacie Macieja, młody czło-

wiek nie był im już więcej nieznanym. Pod staranną opieką ojca i córki, poprawiał się szybko i gdy wstał pierwszy raz i mógł już wkrótce powrócić do swej chaty na górze, wtedy rzekł:

— Ojcie Macieju, gałęzie na mojej chatce już pożółkły i ptactwo pociągnęło do ciepłych krajów. Myślę, że i mnie byłoby teraz zimno na górze zamkowej. Przyjmij mnie więc ojcie Macieju do siebie, daj mi swoją Elżbietę za żonę. Będę was kochał jak syn i pomagał wam o ile sił starczy. Zdaleka tutaj przyszedłem, nie mam wcale rodziny, a wędrówka zmęczyła mnie bardzo. Co mnie do tej góry przyniosło to powiem wam, gdy Elżbieta będzie moją żoną, a wierzę, że góra zamkowa z tem co w sobie zawiera, może nas wszystkich uczynić szczęśliwymi.

— Dlaczegoż,— spytał Maciej,— tak dużo o tem wiedziałeś zanim jeszcze był tutaj?

— Jak tylko mogłem zrozumieć co się na świecie dzieje, matka moja dużo zaczęła mi opowiadać o górze zamkowej. Działo się tutaj wiele rzeczy, związanych ściśle z moim rodem. Nazywamy się — z Góry— a ja jestem ostatnim z rodu Henrykiem z Góry i przyszedłem tutaj, aby szukać mojej ojcowizny, która się tu znajduje. Wiem z opowiadań mojej matki o zakopanych tutaj niezliczonych skarbach i wszystko mogę wam sztuka po sztuce wyliczyć. To wszystko było spisane na pergaminie, który mój ojciec przechowywał w żelaznej szkatułce. Lecz gdy przyszła wojna i spalił się dom mojego ojca, spalił się też i pergamin, a mnie została się tylko ta szabla, z którą przyszedłem. Służyłem z nią długo po świe-

cie, lecz teraz wolę być pasterzem, jak wy ojcie Macieju, niż płatnym żołnierzem. Jeśli znajdę skarb mój to podzielimy się nim wszyscy, jeśli zaś go nie znajdem to będziemy wspólnie pracowali na chleb. Oddajcie mi ojcie Elżbietę i bądźcie pewni że was nie skrzywdzę.

I pasterz Maciej oddał Henrykowi za żonę swoją jedyną córkę i nie zawiódł się.

Tajemnica rodu nieznanego została się w domu Macieja, a okoliczni ludzie nazywali Henryka pasterzem z Góry.

Swoją szablę, torbę podróżną i napierśnik w jakim tutaj przyszedł, zamknął Henryk w skrzyni, a sam ubierał się w wełnianą opończę, jaką mu Elżbieta utkała.

Najpiękniejszymi dla wszystkich trojga były długie wieczory zimowe, gdy stado z powodu śniegu musiało zostać pod dachem, Elżbieta przędła, a obaj mężczyźni czesali i przygotowywali wełnę. Wtedy Henryk opowiadał o wydarzeniach, jakie działy się w czasie jego wędrówek, o przyszłym szczęśliwym życiu i o swoich nadziejach na przyszłość. Elżbieta przysłuchiwała się z zachwytem opowiadaniom swojego męża i wierzyła tym nadziejom, tak jak wierzył w nie Henryk. Tylko inaczej trochę myślał stary Maciej. Wierzył on też zapewne w owe skarby, jakie leżały zakopane na górze zamkowej, lecz tyle już przeszedł zawodów w czasie swojej młodości, że wątpił o odnalezieniu ojcowizny Henryka. I dlatego często mawiał, że nadzieja jest pięknym kwiatem, który prędko śnieg zasypuje.

II.

W pracy i nadziei na przyszłość przeszło wiele lat mieszkańcom małej chatki u stóp góry zamkowej. Na świecie szalały wojny, lecz tutaj dochodziły o nich tylko niejasne wieści, które przerażały Elżbietę, smuciły starego Macieja, a Henrykowi mąciły spokój domowy. Wtedy zaciskał on pięście i mówił do siebie: „o gdybym mógł nauczyć tych rabusiów“. Lecz wkrótce się uspakajał i wyganiał swoje stado na górę i tylko ztamtąd wodząc okiem po okolicy wzdychał i zamyslał się, jakby oczekując jakiegoś dobrego ducha, któryby mu wskazał jego los właściwy.

Z wesołego młodzieńca, dla którego świat był zamały, i który dlatego szukał spokoju w tym kącie, stał się Henryk człowiekiem zamkniętym w sobie, zamysłonym, który wyglądał jakby zanadto wielofnności włożył w spokój szczęścia domowego.

Lecz była jeszcze jedna przyczyna, która go przywiązywała silnie do nowej ojczyzny i domu. Przyczyną tą był jedyny syn Stanisław. Stanisław był żywym obrazem ojca. Ta sama porywczność, jaką Henryk miał za lat młodych, odbijała się w jego synie. Góra zamkowa była też dla niego najdroższym miejscem na świecie. Całymi dniami mógł chodzić po ruinach, a gdy ojciec wracał z pastwiska i zaczynał opowiadać swoje opowieści chłopiec, zapominał o napoju i posiłku. Nie nęciły go kwiaty i drzewa

chciał być górnikiem i z oskardem i lampką schodzić w głąb ziemi. Bardzo często zastawał go ojciec kopiącego ziemię łopatką, ażeby znaleźć zaczarowane skarby.

— Patrz ojcze! — wykrzykiwał on z błyszczącymi oczami, pokazując odkopaną siekierkę kamienną, — gdzie to się znajduje muszą być i daleko ciekawsze rzeczy.

Henryk oglądał z uśmiechem piękny oręż z gładkiego kamienia i tłumaczył synowi, że gdzie się znajdują podobne rzeczy, to nie leży obok nich srebro lub złoto, lecz co najwyżej obręcze miedziane, lub szpilki i pierścienie z tego metalu, które ówczesni ludzie nosili.

— A jak to było ojcze? — zapytywał Stanisław.

I ojciec opowiadał o tem co się działo tutaj bardzo dawno. Jak na miejscu dzisiejszego zamku było prawdopodobnie miejsce święte, gaj leszczynowy, który oceniał wielkie kamienne bóstwa. Na płaskich kamieniach w gaju palił się wieczny ogień i składano ofiary bogom z roślin kwiatów i zwierząt a owe siekierki i noże z kamienia służyły często do zabijania ofiarowywanego zwierzęcia. Tutaj tak samo schodzili się dowódcy rodów na narady i tu przechowywały się znaki władzy i znaki każdego plemienia. Tutaj dochodzili też często wędrowni kupcy z dalekich krajów, gdzie już wtenczas były miasta i zamki. Ludzie ci zwali się rzymianie i za swoje monety złote i srebrne, jakich parę znalazł kiedyś twój dziadek, kupowali od tutejszych mieszkańców skóry, miód i wosk.

— Ale spójrz Stasiu, podczas gdy my tu rozmawiamy, Filuś zabrał się do łowienia myszy polnych, a owce mogą wejść w szkodę. Pospiesz spędzić je na właściwe miejsce — dodawał ojciec.

I gdy Staś biegł szybko pod górę za psem, Henryk myślał, że ten żywy chłopiec będzie zmuszony tak jak on stracić swoje siły na spokojnem paszeniu owiec. O, gdyby mógł mieć swój chłopiec lepszą przyszłość, a ja — spokojniejsze serce — myślał Henryk.

A Elżbieta? Czyż nie myślał ostatni z panów Góry o swojej wiernej żonie? Czyż nie widział on jej też, gdy zamyślony dawał jej zdawkowe odpowiedzi? Czasem burzyła się w Henryku krew i wtedy czuł się jak ptak w klatce, który może wolność znaleźć tylko w szerokim świecie.

III.

Znów przeszło parę dobrych lat. Na świecie wszędzie był spokój i tak samo spokojnie było w małym domku pasterskim. Pola przynosiły dobry urodzaj i dużo chleba zostawało się na zimę. Wszyscy byli zdrowi i każdy dziękował Bogu za to co miał codzień. Lecz cisza, jaka panowała w domku pasterskim, była tylko chwilową. Cisza w naturze, spokój, wróżyły tam jakąś burzę, która była jeszcze bardzo daleko.



włożył swój dawny strój, przypasał szablę i pożegnawszy się z Elżbietą, odszedł szybko. Gdy Elżbieta zobaczyła go niknącego w lesie, wtedy dopiero poczuła cały ogrom swojej ofiary.

Płacząc, siedziała bezradna na progu domu. Tak zastał ją wierny stróż domu pies, który położył jej łapy na kolana jakby chcąc powiedzieć: patrz zostałem ci ja, przykład wierności w każdej potrzebie. Tak też zastał ją i syn. Elżbieta opowiedziała mu o odejściu ojca.

Staś odpowiedział na to:

— Nie smuć się matko, że ojciec poszedł ze swoją szablą w świat, Bóg nie opuszcza mężnych i może kiedyś będziemy się mogli nazwać rzeczywście panami z Góry. Tymczasem pola nam znów obrodzą, a ja będę sumiennie odrabiał naszą pracę, aż póki nie wróci ojciec by mi dopomódz. A jeśli odnajdę skarb, wtedy zakończą się nasze kłopoty. Lecz matka wdychała i milczała.

Staś rzeczywiście tak czynił jak zapowiedział. Czynił to wszystko, co mu matka dała do roboty; pracował od rana do późna i przyjemnym był mu każdy kęs z dłoni matczynej. Tak ich zastała wiosna. Staś zaczął pasać kozy i z taką samą chęcią wyganiał je na paszę w góry jak dawniej owce. Lecz musiał się przytem napracować, gdyż kozy wchodziły często w szkodę, a Filus nie mógł go zupełnie w pilnowaniu wyręczyć. Kozy, opędzając się, kaleczyły go rogami. Wtedy Staś gładził psa po sierści mówiąc: „czekaj Filusiu, przyjdą dla nas le-

psze czasy. Gdy ojciec wróci wyhodujemy sobie znów stado owiec i nie będziemy potrzebowali pilnować cudzych kóz.

Wiatr południowy głąskał Stasiowi policzki i chłopiec zwrócił się w jego stronę całą twarzą. Lecz przytem usłyszał on jakby głuchy dźwięk w powietrzu, który był jakby daleki łoskot gromu. Lecz ten daleki grom toczył się jakoś głucho i jakby podnosił się od ziemi. I gdy się tak dalej nasłuchiwał zobaczył zbliżającego się z dala starego Błażeja, przezwanego Królewczykiem, który zdaleka już mówił zadyszany:

— Czy słyszysz Stasiu muzykę wojny? Wyszędłem tutaj, gdyż tutaj lepiej słyhać jak tam na dole. Bardzo muszą ciężko ze sobą walczyć, królewscy z wrogiem, gdyż muzyka jest bardzo wesła i głośna. Przyłóż ucho do ziemi wtedy usłyszysz zupełnie wyraźnie wystrzały.

— Tak, rzeczywiście, — rzekł chłopiec, — słyszę wystrzał za wystrzałem. Czy bitwa się do nas zbliża, Błażeju, czy sprawa to tylko południowy wiatr.

— Tak jest rzeczywiście, — odpowiedział stary, — lecz czy boisz się Stasiu, że tak poblądles?

— Ja, czy się boję? — cieszę się Błażeju, że bitwa toczy się w naszych stronach, gdyż są tu serca dzielne, które się nie cofną przed największym poświęceniem.

— Stasiu — odparł Błażej — będzie z ciebie dzielny żołnierz. Lecz kozy a szabla są to dwie różne rzeczy. Gdy dorośniesz wtedy pomówimy inaczej. Teraz mój chłopcze spędź kozy w dół, gdyż zbliża się wichur i burza. Spójrz tylko, kozielek spogląda pod wiatr

a teraz spójrz jak daje znak i zbiega na dół. To oznacza prędką nawałnicę. Lecz Staś został na miejscu, patrząc jak oddalały się szybko do zagrody kozy i jak stary Błażej, walcząc z wiatrem, schodził z góry.

Przepędzał on już nieraz podobny czas na swojej górze zamkowej, więc i teraz, ukrywając się pod jednym z drzew, patrzył z zachwytem nisko. Widząc liście zrywane z drzew i ciskane o ziemię razem z gałęziami wyobrażał sobie całą grozę bitwy, gdzie, zamiast liści padają kule.

Naraz oślepił go przerażający błysk i ogromna sosna stojąca niedaleko, porażona piorunem, upadła na ziemię. Wichur i burza połączyły się aby zniszczyć ją zupełnie. Leżała teraz na ziemi z połamanymi gałęziami, a na miejscu gdzie upadła uformował się duży dół z którego sterczały połamane korzenie.

Wtedy chłopiec zaczął się modlić: Wielki i potężny Boże, wszystkie twoje dzieła są sprawiedliwe i dobre. Nieopuszczaj nas w potrzebie i spraw aby ojciec wrócił do nas. Przez słodkie imię syna twojego Jezusa spraw to. Amen.

W tym czasie zadzwieczyły dzwony kościelne i burza jakby wysiliwszy się zaczęła ścichać. Obłoki ciemne i groźne przeszły, gdzieś ukazało się błękitne niebo, i słońce zaczęło błyskać w kałużach wody.

Przy błyskach pierwszych promieni wyszła Elżbieta z chaty. Wiedziała, że Staś został się na górze, a widząc szkody, jakie wichur w lesie poczynił drżała o niego. Z niepokojem wchodziła na górę, nawołując; czątku nieodzywał się nikt i dopiero po jakimś

czasie usłyszała zdaleka głos syna jakby wychodzący z pod ziemi. Kierując się nim, doszła do miejsca, gdzie wicher wyrócił sosnę. W głębi dołu, obok powalonego drzewa, klęczał Staś i rękoma rozrzuceł ziemię.

— Matko, krzyknął on zadyszany, nareszcie znalazłem skarb ojcowski. Za pomocą burzy podarował go nam Bóg.

— Spójrz, oto skrzyneczka żelazna prawie przez rdzę nienaruszona! — Matka pomogła synowi z radością wydobyć skrzynkę z dołu. Lecz zostawiono ją zamkniętą. Elżbieta położyła ją na swoim zmoczonym przez deszcz fartuchu i poprzedzani przez szczekającego Filusia, zanieśli ją oboje do swojego domku. Lecz i tam żadne z nich nie odważyło się skrzynki otworzyć.

— Tylko twój ojciec może to uczynić, Stasiu, — rzekła matka.

— Tak jest — odparł chłopiec — lecz nie możemy skrzynki tutaj zostawić. I dlatego ukryję ją pod jednym z kamieni kuchni, gdzie jej nikt nie znajdzie w razie gdyby jaki zły człowiek naszego domu nie ominął.

Gdy skrzynka została ukryta Staś siadł obok matki i rzekł westchnąwszy. — O, gdyby ojciec był z nami!

— Oboje nie jedli tego dnia wieczerzy i cicho pokładli się do snu. A gdy nazajutrz rano Staś wyganiał kozy na górę nie słyszał matki śpiewającej jak zwykle.

Sam pasąc swoje stado stał cały czas wpatrzony w dal i gdy schodził do domu piewszemi jego słowami były słowa: O gdyby ojciec był z nami!

IV.

Tak przeszło parę dni i gdy pewnego rana Elżbieta się obudziła, zobaczyła że jest wyjątkowo późno. Staś, który spał obok, nie obudził jej jak zwykle i nie słyhać było jeszcze dotąd Filusia. Przypuszczając że z chłopcem co się stało, wstała szybko, lecz miejsce Stasia było puste. Pustą była także i buda Filusia.

Wtedy Elżbieta ugotowała śniadanie i gdy przeszło parę godzin a nikt się nie zjawiał, poszła na górę zamkową zobaczyć co się z chłopcem stało.

Tam spotkała starego Błażeja, Królewczyka, któremu się zwierzyła ze swoim zmartwieniem.

— Wyfrunął ptaszek z gniazda — odrzekł stary. — Syn chce ojca odnaleźć i sądzi że jest to tak łatwo jak bawić się w lesie w rozbójników. Lecz nie obawiaj się. Elżbieto wróci się on od pierwszej rozstajnej drogi.

Po słowach Błażeja jeszcze większa troska ogarnęła Elżbietę. Sama wygoniła kozy na pastwisko i odtąd co dnia wpatrywała się ciągle w drogę, którą odszedł jej mąż i syn.

Tymczasem Staś doszedł do dużej rzeki i znalazłszy przewoźnika prosił o przewiezienie na drugą stronę.

— Gdzież idziez pasterzu? — zapytał go przewoźnik widząc jego kij i psa jakiego prowadził ze sobą.

— Idę szukać mego ojca, który jest na wojnie — odparł chłopiec.

1872 MKD

— Jeżeli masz matkę chłopcze to wracaj do domu — odrzekł przewoźnik. — Tam, dokąd idziesz, niema ani jednej całej wsi i ani jednego miasta. Piekielnym dziełem jest wojna i takie dzieci jak ty nie powinny o tej porze z domu się oddalać.

Wtedy Staś odpowiedział krótko—Pójdź Filusiu, pójdziemy szukać drugiego przewoźnika. Zostańcie zdrowi idę dalej. I sądzę że odnajdę ojca pomimo wojny i jej okrucieństw.

I rzeczywiście Staś znalazł niedługo chętne ręce, które go przewiozły i obdarzyły chlebem na drogę, współczując takiej miłości synowskiej. Coraz dalej szedł chłopiec pastym, wyludnionym krajem, przysłuchując się odgłosom bitew i słuchając strasznych opowieści przerażonych wieśniaków. Tak idąc natrafił na oddział nieprzyjacielski, który go zabrał ze sobą przemocą jako chłopca do zbierania drzewa. Wtedy wieczorem, gdy już drzewo było nazbierane, kładł się Staś ze swoim psem w kącie namiotu, myślarz o tym jak niedługo znajdzie swojego ojca, gdyż oddział jaki go zagarnął ciągnął na plac bitwy. Wkrótce przybyli na plac boju. I tu dopiero nasłuchiwał się chłopiec straszego grzmotu strzałów armatnich i zobaczył jak zakamieniałe są ludzkie serca.

Zostając się przy nieprzyjacielskim oddziale, przy był z nim Staś po bitwie do jednego z mniej zniszczonych miast.

Pewnego dnia, gdy miał już zasnąć, przyszedł doń Filuś bardzo niespokojny i ciągnąc go za ubranie i skamłając, dopóty to powtarzał, dopóki nie zwrócił tem uwagi chłopca, poczem zaczął go prowadzić, szcze-

kając, w głąb miasta. Staś niespokojny i wzruszony szedł za nim. Tak przybyli do zapadłego domu bez okien i drzwi, które zapewne zostały dawno wzięte na ogniska obozowe. Na podłodze leżało tam mnóstwo ranionych w ostatniej bitwie. Pies podwoił tu swoje szczekanie i zaprowadził chłopca do małego pokoju, gdzie na słomie leżał jeden z rannych. Filuś rzucił się ku leżącemu liżąc mu twarz i ręce, jakby chciał tem pokazać chłopcu, że tu leży tak długo poszukiwany. I rzeczywiście przy blasku małej lampki Staś poznał ojca wynędzniałego od ciężkiej rany i trudów. Ten dumny człowiek, któremu za ciasną była chata pasterza, leżał na garści słomy jako prosty żołnierz. Ledwo z trudem poznał syna tak był osłabiony. Staś płakał lecz jednocześnie radował się serdecznie. Znalezione, znalezione powtarzał sobie. Ojczy, odwagi, jest przy tobie twój syn a matka nas czeka.

Lecz dobry syn nieprędko mógł wrócić z rannym ojcem do swojej wioski; dopiero po paru miesiącach, gdy wojna przeniosła się dalej i trochę przycichła, pod staranną opieką syna mógł Henryk zabrać się do drogi.

— Stasiu—rzekł kiedyś do syna, gdy był już zdrowszy,—znam te okolice i tutaj leżałwłaśnie zamek moich blizkich. Lecz niema tam obecnie już nikogo i wszystko zniszczyła wojna. Pozostało mi się jedyne miejsce a tym miejscem jest góra zamkowa. Jak tylko będę mógł dosiąść konia, udam się za trochę zachowanych pieniędzy w drogę z powrotem. Tak się rzeczywiście stało. Przekradli się oni ostrożnie w no-

cy przez placówki nieprzyjacielskie i rano byli już daleko.

Tak przybyli pod górę zamkową pewnego wieczoru kiedy ruiny oświecało słońce zachodnie. Przed drzwiami ich domku siedziała Elżbieta i myślała o dalekich. Gdy małżonkowie padli sobie w objęcia Elżbieta zapytała się łkając.

— Czy zostaniesz się teraz z nami, drogi Henryku?

Henryk odpowiedział wzruszony.

— Droga żono zupełnie wyleczyłem się z swojej choroby, która cię przytrafiła o tyle smutku. Wróciłem zupełnie zdrow. Niech skarb moich ojców spoczywa spokojnie gdzie go Staś ukrył. Ja chcę odtąd szczerą pracą zarabiać na chleb, aby uczył się odemnie mój syn, że:

Uczciwa praca najwięcej uszlachetnia człowieka



Litość nagrodzona.

Pewien nauczyciel wiejski posłał swoją córkę „milję do odległego o parę godzin miasta, w celu załatwienia bardzo pilnego sprawunku. Ojciec dał przytem córce kilkadziesiąt groszy, mówiąc, aby po załatwieniu interesu posiliła się w jednej z jadalni miejskich, gdyż rodzina nauczyciela nie miała w mieście ani krewnych, ani znajomych, u których by się dziecko posilić mogło. Gdy Emilja przeszła lasek, oddzielający rodziną wioskę od gościńca, ujrzała szybko przejeżdżający powóz, a za nim w obłoku kurzu głośnie lamenty. Wtedy przyśpieszyła kroku i ujrzała na brzegu drogi człowieka, stojącego nad wywróconym ręcznym wózkiem i skarżącego się głośno na złego stangreta, który, szybko jadąc, przewrócił mu jego wózek z jajami. Jaja te były zakupione za pożyczone pieniądze a za zysk ze sprzedaży w mieście biedny człowiek miał zakupić żywności dla swojej rodziny. Teraz cała jego nadzieja przepadła i nic mu jego straty nie powetuje.

Tak żalił się człowiek i choć Emilja pocieszała go jak mogła, stał z załamaniem rękoma nad swoim zniszczonym towarem.

Wtedy dziewczynka sięgnęła do swego koszyczka i dała mu swoje pieniądze, aby za nie kupił sobie chleba, a dobrzy ludzie może mu dalej dopomoga.

Człowiek wziął z dziękczynieniem pieniądze, a Emilja uradowana, że spełniła dobry uczynek, poszła dalej.

Wkrótce przyszła do miasta lecz nie mogła zafatwić zaraz swojej sprawy. Kupiec, do którego się udała, wyszedł i miał dopiero za dwie godziny powrócić do domu. Dziewczynka w oczekiwaniu obezšla ulice, obejrzała wystawy sklepowe i po upale i po pustych ulicach zauważyła, że nadeszło południe.

Emilji zaczął dokuczać głód i sięgnęła ręką do kieszeni, aby wyjąć pieniądze dane jej na śniadanie. Lecz wtedy dopiero przypomniała sobie, że pieniądze oddała biednemu sprzedawcy jaj.

Zmęczona i głodna wyszła Emilja za miasto, aby odpocząć w cieniu przydrożnych lip. Wtedy wzrok jej padł na otworzone drzwi cmentarza i weszła tam. Kwitnące krzewy i płaczące brzozy, zasadzone kochającymi rękoma na grobach, rzucały na nie gęsty cień i Emilja usiadła około jednego grobowca, aby odpocząć. Grobowiec ten był pięknym pomnikiem, a gdy przeczytawszy napis, dziewczynka się dowiedziała, że spoczywa tu młoda kobieta, wtedy zatrzymała swe oko na pięknej figurze, którą rze-

źbiarz uczynił, jakby napół wylaniającą się z twardego kamienia.

Z zamyśloną twarzą wyrzeźbiona postać schylała się ku rosnącemu u nóg kwiatowi, około którego unosił się piękny motyl.

Emilja wzruszona zrozumieniem pomnika, sięgnęła mimowoli do kieszeni, aby otrzeć chustką łzy rozrzewnienia i wtedy zauważyła coś błyszczącego w trawie. Podniósłszy zauważyła zdziwiona, że jest to sztuka złotej monety.

Czyż pierwszą myślą, jaka dziewczynce przyszła do głowy, było zatrzymać pieniądze i kupić sobie śniadanie? Nie. Przedewszystkiem postanowiła ona odnaleźć tego, który zgubił monetę, aby mu ją zwrócić. Tak myśląc i rozglądając się naokoło zauważyła Emilja przy jednym z odległych grobów nieznanego pilnie odczytującego napisy. Wtedy podeszła doń i zapytała podając mu monetę, czy to nie on ją zgubił.

Nieznamy spojrzał przyjaźnie w pytające oczy dziecka i odrzekł:

— Tak moje dziecię, rzeczywiście to ja zgubiłem ten pieniądz prawdopodobnie, gdy rysowałem tamten piękny grobowiec w moim notatniku. Lecz zatrzymaj go jako nagrodę twojej uczciwości.

— Lecz ja nie mogę tego uczynić— odrzekła dziewczynka—nie mogę przyjmować pieniędzy z rąk nieznanomych za tak prostą przysługę.

Gdy nieznamy nakłaniał ją do przyjęcia w dalszym ciągu, wtedy Emilja rzekła:

— Jeśli pan tak łaskaw, to niech pan mi pożyczycy parę groszy, gdyż jestem głodna, a nie wiem do kogo zwrócić bym się mogła.

Nieznajomy spojrzął na porządnie odzianą dziewczynkę i rzekł potrząsnawszy głową.

— Jakto, ty dziecko jesteś tu obcą i czujesz głód? Chodź ze mną do pobliskiego zajazdu.

Emilja po chwili namysłu poszła z nieznanym.

Gdy już siedzieli przy stole i niezajomy opowiedział Emilji o swoich dzieciach, zapytał się o ojca i matkę, a dziewczynka stała się rozmowniejszą wtedy niezajomy wypytał ją powoli o przyczynę głodu, a Emilja bez nieśmiałości opowiedziała mu całą prawdę, wtedy niezajomy wyjął złotą szpilkę i rzekł:

Emiljo, od niezajomych nie bierze się pieniędzy, lecz może zechcesz przyjąć od przyjaciela tą małą pamiątkę. Przyjmij to i przyjm odemnie podziękowanie za wielką radość, jakąś mi dzisiaj swoim postępowaniem sprawiła. Niech ci Bóg zawsze sprzyja i ustrzeże cię od złego.

Emilja nie zapamiętała nazwiska niezajomego, lecz ma dotąd złotą szpilkę i myśli często o głodzie jaki wtedy odczuwała, jakoteż i o dobrym posiłku, jaki jej los zesłał w nagrodę za dobry uczynek.

Chora mateczka.

Pani B. pewnej nocy nagłe zachorowała. Gdy dzieci rano powstawały i przyszły do pokoju, aby się przywitać, jakież było ich zdziwienie, gdy zobaczyły mateczkę leżącą w łóżku, a obok niezajomego pana, który, jak objaśniała służąca Marysia, był doktorem i przyszedł aby zapisać mateczce lekarstwo?

— Czy bardzo chorą jesteś mateczko? — zapytała Elżunia, najstarsza córka, a matka kiwnęła w milczeniu głową na znak potwierdzenia.

Lekarz zapisał lekarstwo, które chora powinna była co pewien czas przyjmować i wyszedł. Wychodząc zaś, zalecił dzieciom, aby się zachowywały grzecznie i cicho, gdyż hałas szkodzi choremu.

— O, my będziemy się bardzo cicho zachowywać — odparła Elżunia. Oby tylko mateczka była jaknajprędzej zdrową.

— Odstawię w kąć mojego konia na biegunach i odłożę trąbkę — powiedział mały Aleksander, a najmłodsza Manusia dodała:

— Ja napewno nie będę płakać głośno aby mateczki nie budzić ze snu.

Choroba mateczki ciągnęła się długo, bo aż parę tygodni. W tym to czasie dopiero poznały dzieci jak dobrą dla nich i troskliwą była ona i jak wiele o nich myślała.

Ojciec mając swoje zajęcie po za domem był cały prawie dzień nieobecny, a służąca tak była swojemi robotami zajęta, że o dzieciach nie miała czasu pomyśleć. Śniadanie, obiad i kolacja rzadko były na stole w swoim czasie, gdyż rzadko kto umiał tak się rozporządzić jak mateczka. Nikt tego nie wiedział i w całym domu panował dlatego ta nieład i niepokój. Ojciec, przychodząc wieczorem, nie mógł sam temu zaradzić, a zresztą sam był przygnębiony i zmartwiony chorobą.

Gdy dzieci cokolwiek chciały lub też niewiedziały, to udawały się dawniej do matki, lecz do kogóż można się było obecnie zwrócić? To też dzieci gorąco pragnęły aby matka była jaknajprędzej zdrową i nie chorowała już nigdy.

Elżunia przysuwała się do łóżka i pytała cichutko:

— Jak się czujesz mateczko?

Mały Aleksander siedział cichutko w kącie, a maleńka Mania położyła główkę na kołdrze matki i pytała cichutko:

— Czy prędko wstaniesz matuchno?

Wreszcie nadszedł szczęśliwy dzień, w którym choroba pani B. przesiliła się. Chora zasnęła i spała aż do rana.

Od samego rana dzieci zgromadziły się u jej łóżka i czekały przebudzenia. Ojciec nie mógł im więcej nic powiedzieć, jak to tylko, że matka po tym śnie zapewne zdrowszą się uczuje.

Wreszcie matka się obudziła.

Wtedy wszyscy naraz zapytali: jakże ci jest mamo, jak się czujesz.

— Chwała Bogu, — odrzekła matka, — jest mi znacznie lepiej.

Dzień ten był najszczęśliwszym dniem po wielu tygodniach. Ojciec był wesoły, matka wyglądała coraz lepiej. Dzieci coraz śmielej i głośniej bawiły się, a grobowa cisza, jaka panowała w czasie choroby w domu znikła.

Matka z każdym dniem była silniejszą i wracała powoli do swych zajęć. I wreszcie spokój i pogoda wróciły zupełnie do domu.

O królewiczu, pastuszkę i gniazdku

OPOWIEŚĆ CIEKAWA.

Bajeczka

Kiedym był taki mały, jak wy, chłopcy, mieszkałem na wsi w Kaliskiem. Okolice były wyjątkowo ładne: zielone, gęste bory szumiały baśnie o dawnych czasach, a dosyć liczne i głębokie wąwozy nadawały krajobrazowi urok tajemniczości.

Wychowywałem się razem z młodszą o trzy lata siostrzyczką, Jadwisią. Kochaliśmy się bardzo i nie odstępowałem od siebie nigdy ani na krok.

Ogromnie lubiliśmy, gdy w skwarne popołudnie dziadek kazał zaprzędz Złotkę do ukochanego naszego „karykla“, i wiozł nas do sąsiednich wąwozów. Złotka była bardzo spokojna, więc przywiązywaliśmy ją do drzewa, a sami w trójkę zapuszczaliśmy się w chłodne i mroczne głębiny wąwozu. Tam zwykle spożywałem podwieczorek, w który zaopatrywała nas dobra mateczka, i tam też zwykle, nabiegawszy się do syta, słuchaliśmy bardzo ciekawych opowiadań naszego dziadka.

Dziadek pamiętał dawne, dawne czasy, i chętnie o dziejach młodości swej opowiadał.

Gdyśmy tak raz jednego obsiedli dziadka i zaczęli prosić:

— Niech nam dziadzio opowie coś ciekawego!

Dziadek odrzekł:

— Wiecie co, opowiem wam dziś historyjkę o królewiczu, pastuszku i gniazdku.

— A czy prawdziwa? — zapytaliśmy oboje.

— Niezupełnie prawdziwa! Ale już posłuchajcie, a napewno powiecie ze mną:

— Ach, jakby to dobrze było na świecie, gdyby żyli tacy dobrzy królewicze! Lecz tacy królewicze mogą żyć tylko w bajkach. Zresztą słuchajcie.

Wpatrzyliśmy się w dziadka, a staruszek uśmiechnął się do nas i tak mówił:

W pewnej wiosce mieszkał ubogi kmiotek Michał i miał synka, dobrego chłopaka Jasia. Jaś pomagał ojcu w robocie, jak mógł. To krówkę i owieczki wypędził w pole, to drew narąbał, to znów wiązał zboże w polu, to zimą krzątał się koło gospodarstwa. Ojciec ogromnie kochał chłopca i martwił się bardzo, że nie może spełnić największego marzenia Jasia, który ogromnie chciał chodzić do szkoły.

Zimą, gdy było mniej roboty, Janek chodził do szkółki wiejskiej, i nauczyciel bardzo go chwalił, że jest zdolny i chętny do nauki, zaszedł nawet kiedyś do chaty Michała, aby ten posłał go do miejskiej szkoły. Ojciec chętnieby posłuchał nauczyciela.

lecz skąd wziąć na to pieniędzy, gdy nieraz głód nawet w czasie przednówka zaglądał do chaty.

Chłopak więc uczył się czego mógł w szkółce, ale wszystko to było mało dla niego.

Razu pewnego syn sąsiada, Antoś, zaprowadził Jasia do lasu i pokazał mu głęboko pod krzakiem gniazdko ptasie. W gniazdku siedziało pięć małych piskląt, a rodzice co chwila przylatywały do nich, przynosząc im to muszkę, to znów jakiegoś robaczka.

Jaś z ciekawością przyglądał się małym ptaszkom, rozdziawiającym żółte dzióbki na przyjęcie pokarmu.

— Tylko słuchaj, — rzekł Antoś, znany w całej wsi z zamiłowania do ptaków, — nikomu o tem nie mów, bo gotowi mi tu wybrać jeszcze pisklęta.

— Pocóż miałbym mówić? — odrzekł Jaś szepcąc, aby nie przestraszyć ptaszków.

— No pamiętaj!

Od tego czasu Jaś często przypędzał w tę okolicę lasu niewielkie swe stadko i cichutko przyglądał się gniazdku i jego mieszkańcom. Początkowo stare ptaki lękały się widoku chłopca, lecz gdy przekonały się o jego dobrych zamiarach, zachowywały się tak, jakby nikogo obok nie było.

Gdy tak pewnego razu Jaś przyglądał się gniazdku, stanął przy nim jakiś chłopiec, w ślicznym zie-

— 97 —

ionem ubranku, bogato wyszywanem złotem. Był to królewicz, a mieć mógł około dziesięciu lat. Lecz Jaś nie wiedział, kto to jest i sądził, że to może jakiś panicz, który z miasta przyjechał na wieś, na lato.

— A może, — myślał Jaś, — jest to syn nadleśnego lasów królewskich.

Uchylił więc kapelusza i grzecznie pozdrowił przybyłego:

— Dzień dobry paniczowi! Czy panicz chce czego odemnie?

— A czy nie mógłbyś mi, — spytał królewicz, — pokazać jakiego gniazdka ptasiego?

Jaś zdziwił się bardzo.

— To panicz nigdy jeszcze ptasiego gniazdka nie widział. Wszak każdy ptaszek ma gniazdko!

— A, więc tyś widział takie gniazdko! — z ciekawością zawołał królewicz. — To musi być bardzo piękne.

— O, bardzo piękne! — rzekł pastuszek z miłym uśmiechem. — Najpiękniejsze ze wszystkiego, co widziałem w życiu. Jest ono zrobione z cieniutkich gałązeczek, trawek, słomek i wysłane mięciutki mchem i piórkami. A jak to miło patrzeć na pisklęta, które zabawnie otwierają dzióbki, gdy im rodzice przynoszą jedzenie!

— No, to prędzej, — zawołał królewicz, — zaprowadź mnie w to miejsce, gdzie jest takie gniazdko z pisklętami i pokaż mi je. Tak dawno już o tym myśle, żeby je zobaczyć.

— Lecz.. lecz... — wyjąkał Jaś, — ja nie mogę paniczowi tego gniazdka pokazać.

— Musisz mi je natychmiast pokazać, — zawołał królewicz, — będziesz za to dobrze wynagrodzony.

— Lecz ja nie mogę go paniczowi w żaden sposób pokazać.

W tym właśnie czasie nadszedł nauczyciel królewicza. Był to wysoki mężczyzna o dobrych, choć poważnych oczach.

Z oddali słyszał on rozmowę obu chłopców. Skoro się zbliżył do nich, rzekł do Jasia:

— Nie bądź, chłopcze, niegrzeczny. Panicz ten nigdy jeszcze w życiu nie widział gniazdka, choć bardzo pragnął je zobaczyć. Zrób mu więc tę przyjemność i zaprowadź nas tam, gdzie moglibyśmy gniazdko zobaczyć. Bądź pewien, że żadnej krzywdy ptakom nie zrobimy.

Lecz Jaś zdjął grzecznie kapelusz z głowy i odrzekł stanowczym głosem:

— A jednak ja gniazdka temu paniczowi nie pokażę!

— To jest bardzo z twej strony niegrzecznie! — odrzekł nauczyciel. — Jeżeli możemy komu zrobić przyjemność, dlaczego nie mamy tego spełnić. A trzeba ci, chłopcze, przytem wiedzieć, że to jest nasz królewicz.

— Więc panicz jest królewiczem? — zawołał Jaś z radością. Chętniebym dla królewicza wszystko

zrobił, lecz gniazdka mu pokazać nie mogę, choćby nawet był on już królem.

Królewicz trochę się już rozgniewał:

— Takiego, — rzekł, — niedobrego i upartego chłopca, jak żyję jeszcze nie widziałem. Musimy jednak znaleźć środek, aby go do spełnienia naszej prośby skłonić.

— Już niech to księżę raczy mnie zostawić — odpowiedział nauczyciel — i zwrócił surowe spojrzenie na pastuszka.

— Powiedz nam wreszcie, dlaczego nie chcesz pokazać nam gniazdka? Jeżeli masz poważne przyczyny, to zostawimy cię w spokoju i pójdziemy sobie dalej.

— Dobrze, — odrzekł uradowany Jaś, — z przyjemnością panom to wytłomaczę. Mój przyjaciel Antos pokazał mi kilka dni temu gniazdko, lecz musiałem mu przyrzec, że nikomu go nie pokażę. Muszę więc teraz przyrzeczenia swego dotrzymać.

— A, to zupełnie co innego! — powiedział nauczyciel.

Jednocześnie jednak przyszła mu myśl wyprobowania uczciwości chłopca. Z tym zamiarem wyjął z kieszeni portmonetkę i zwrócił się do Jasia:

— Widzisz tę złotą monetę? Ofiaruję ci ją z całą chęcią, jeżeli nam pokażesz gniazdko, przecież nikt z nas Antosowi o tem nie powie, on więc nie będzie nic wiedział, a ty zyskasz sporo pieniędzy.

— O, bardzo dziękuję! — odrzekł pastuszek. — Nie, nie, to byłoby kłamstwo, a ja nie kłamię nigdy.

Nie o to mi chodzi, czy Antos będzie wiedział, czy nie? Cóż bowiem mi to pomoże, choćby cały świat nie wiedział, jeśli postąpię źle. Nie, nie, bardzo dziękuję za pańską monetę.

— Ale może ty, chłopcze, nie wiesz, ile warta jest ta moneta. Gdybyś zmienił ją na miedziaki, to mógłbyś zapełnić niemi cały kapelusz. A co rzeczy mógłbyś za tyle pieniędzy kupić! Zastanów się dobrze nad tem, co robisz?

— To prawda! westchnął chłopiec, jest to bardzo duża moneta! A mój ojciec jakby się ucieszył, gdybym mu naraz tyle przyniósł pieniędzy!

Lecz natychmiast zawołał z siłą:

— Nie, nie! nic mnie nie skusi! To, co przyrzekłem Antosowi, spełnię, i za nic w świecie przyrzeczenia nie złamię!

Po tych słowach zdjął kapelusz i chciał pożegnać się z panami:

— Muszę już moje owieczki zapędzić do domu.

Wtedy jednak podbiegł do Jasia strzelec, który przyszedł razem z nauczycielem i słuchał z boku całej rozmowy. Zrozumiał on doskonale, że nauczyciel chce wypróbować uczciwość chłopca; podbiegł więc do pastuszka, schwycił go za rękę i zawołał podniesionym głosem:

— Ty, zły dzieciaku! to tak słuchasz rozkazów królewicza? Już ja cię na tę posłuszeństwa! Albo natychmiast pokażesz gniazdo, albo powieszę cię na tej oto gałęzi!

I z temi słowami wyjął z kieszeni gruby sznurek.

Chłopiec zbladł, zatrząsł się, jak w febrze i płacząc zaczął prosić:

— Przebaczenia, przebaczenia!...

— To pokaż natychmiast gniazdo!

Pastuszek złożył ręce, jak do modlitwy i błagalnym głosem zawodził:

— Tego w żaden sposób zrobić nie mogę! naprawdę nie mogę!

— No, dosyć! zawołał nauczyciel i rozkazał strzelcowi puścić chłopca.

— Słuchaj, chłopczel! postąpiłeś bardzo dobrze, żeś nie chciał złamać przyrzeczenia.

Teraz idź sobie do domu i zapytaj Antosia, czy pozwoli, abys królewiczowi pokazał gniazdko. Jeżeli pozwoli, to monetą możecie się podzielić.

— Dobrze, bardzo dobrze! jeszcze dzisiaj wieczorem przyniosę panom odpowiedź!

Nauczyciel wraz z królewiczem poszli z powrotem do pałacu królewskiego, który znajdował się wśród lasów.

Po drodze rozmawiali o Jasiu.

— Uczciwość tego chłopca rzeczywiście wzbudza we mnie podziw. Jest to niezwykle silny charakter. Mógłby z niego wyrosnąć wielki człowiek, gdyby tylko odpowiednio nim pokierować i dać mu wykształcenie. Zebra będzie zebrać o pastuszkach bliższe wiadomości.

Zwrócił się więc z zapytaniem do leśnika, który opowiedział, że chłopiec ma na imię Jaś i że jest synem bardzo ubogiego chłopka, znanego w całej okolicy ze swej uczciwości. A i chłopiec jest bardzo dzielny i pomaga ojcu w pracy, jak może.

Wieczorem, gdy królewicz skończył lekcje, stanął w oknie i przyglądał się rozległemu widokowi. W tej samej właśnie chwili na drodze, wiodącej ku wsi, ukazał się Jaś, który szedł ku pałacowi, aby zwiastować królewiczowi pomyslną nowinę.

— Aha, zawołał królewicz, Jaś zdąży już ku nam. Chodźmy, panie nauczycielu, na jego spotkanie!

I po chwili obaj wyszli na szeroki gościniec.

Jaś, zobaczywszy ich z oddali, podbiegł ku nim szybko, a oczy śmiały mu się radośnie:

— Wszystko jest jaknajlepiej — Antoś zgodził się, ale powiedział mi, że jestem niezbyt mądry, bo mogłem jemu nic nie mówić, tylko panom pokazać gniazdo, a sam wziąć sobie pieniądze. Ale już ja tak wolę. Czy królewicz teraz chciałby zobaczyć gniazdko?

— Dobrze, chodźmy! odezwał się nauczyciel.

Jaś pobiegł prędko naprzód, a królewicz i nauczyciel podążali za nim.

— Czy królewicz widzi tę małą ptaszynę, co siedzi na tej oto gałązce? zapytał Jaś, gdy zbliżyli się już do miejsca, gdzie było gniazdko. Właśnie jej gniazdko pokażę panom. Musimy tylko zbliżyć się ostrożnie!

Mówiąc to, podszedł do krzaka tarniny i powoli rozsuwał kolczaste jej gałązki. Krzak o ciemno zielonych listkach pokryty był białymi kwiatkami i wyglądał uroczo.

Rozgarnawszy gałązki, pastuszek ruchem głowy zawezwał królewicza, aby się zbliżył i palcem wskazał mu gniazdko.

— Samiczka siedzi właśnie w gniazdku. Czy królewicz ją widzi?

Lecz w tej samej chwili ptaszek przestraszony widokiem ludzi, sfrunął z gniazdka, i oczom obu chłopców przedstawił się widok ładnego gniazdka z pięcioma malutkimi pisklętami.

Gdy już królewicz dobrze przyjrzał się wszystkiemu, nauczyciel rzekł do Jasia:

— A teraz przyjmij odemnie należną ci zapłatę. Ponieważ jednak musisz się podzielić z Antosiem, więc wypłacę ci ją srebrem.

Mówiąc to, wyjął z portmonetki dziesięć srebrnych monet i wręczył je oszołomionemu z radości chłopcu.

— Tylko podziel się uczciwie ze swym przyjacielem, rzekł nauczyciel na pożegnanie.

— Co do tego, może pan być zupełnie spokojny, odpowiedział Jaś i grzecznie skłonił się kapeluszcem.

Nauczyciel kazał strzelcowi wywieźć się, co z danymi mu pieniędzmi. Okazało

się, że połowę uczciwie oddał przyjacielowi, a resztę ojcu. Dla siebie zaś nie zostawił ani grosza.

Królewicz od tego czasu bywał częstym gościem znajomych nam ptaszków, które wkrótce tak przyzwyczały się do jego widoku, że najspokojniej w jego obecności siedziały w gniazdku. Małe zaczęły już podrastać a nawet po trochu wysuwały się już z gniazdka.

Nauczyciel i królewicz od czasu do czasu spotykali w lesie pastuszką, pasącego swe stadko, i ze zdziwieniem zauważyli, że Jaś nigdzie nie ruszał się bez książeczki, którą w chwilach wolnych sumiennie czytał.

— Czy ty, Jasiu, dobrze umiesz już czytać? zapytał pewnego razu królewicz.

— Trochę się poduczyłem, odrzekł skromnie chłopiec.

— To mi cokolwiek przeczytaj głośno, poprosił królewicz.

Pastuszek otworzył książeczkę i zaczął czytać, od czasu jednak do czasu przerywał płynne czytanie i sylabizował.

— Powiedz mi też, zapytał królewicz, w jakiej szkole się uczyłeś?

— Ach, westchnął chłopiec, ja uczyłem się bardzo niewiele, bo tylko zimą chodzę do szkoły, która jest w sąsiedniej wiosce o trzy wiorsty od naszej. A przytym nie mamy pieniędzy na książki. Tę, co tutaj mam, dostałem od Antosia i przeczytałem ją kil-

ka już razy. Jest ona bardzo zniszczona, i w niektórych miejscach jest tak zamazana, że ledwo mogę odsylabizować, co tam jast napisane.

Gdy nazajutrz królewicz spotkał w lesie Jasia, pokazał mu nową, ładnie oprawioną książeczkę.

— Chciałem ci tę książeczkę pożyczyć, rzekł do pastuszka. Jeżeli jednak przeczytasz mi bez omyłki całą stronę, to postanowiłem ci ją podarować.

Chłopiec niezwykle się ucieszył, gdyż postanowił zdobyć książkę. To też cały dzień pilnie odczytywał pierwsze sześć stronic, aby mógł je przeczytać jaknajprędzej królewiczowi.

Następnego dnia, gdy spostrzegł w oddali królewicza, podbiegł do niego i zawołał:

— Umiem już dobrze czytać pierwsze sześć stron.

I rzeczywiście bez błędu przeczytał całą powiastkę.

Królewicz wysłuchał uważnie i ofiarował chłopcu książeczkę.

Pewnego dnia do pałacu przyjechał ze stolicy król, pragnąc zobaczyć syna i przekonać się, jakie postępy robi w naukach.

Podczas obiadu królewicz opowiedział ojcu o Jasiu, o jego uczciwości, o chęci do nauki. Król słuchał uważnie, jakby w głowie jego dojrzewała jakaś

poważna myśl. Po kilku dniach rozkazał zawezwać do siebie chłopca, który przyszedł i z nieśmiałością spoglądał na poważnego pana.

Nauczyciel powiedział Jasiowi, kim jest ten pan, co chłopca jeszcze bardziej onieśmieliło. Nie wiedział, co ma mówić i co robić.

Król odezwał się łagodnie do pastuszka: —

— Słyszałem o tem, że masz chęć się uczyć.

— Tak, odpowiedział chłopiec, lecz jesteśmy bardzo ubodzy, a naukę mogą otrzymywać tylko ci, co mają dużo pieniędzy. Biedacy, choć ciężko pracują, nie mogą uczyć swych dzieci.

— No, tak, odrzekł król, lecz ja pragnę na swój koszt oddać cię do szkoły i dawać na wszystkie twoje potrzeby. Jakżeż, podoba ci się ta myśl?

Chłopcu w pierwszej chwili zaśmiały się oczy z radości, następnie jednak twarz jego powlokła się smutkiem, że król ze zdziwieniem zapytał:

— Co to znaczy? zamiast śmiać się i radować, ty omal że nie płaczesz! Wytlomacz mi, co to znaczy?

— Ach, odrzekł Jaś, mój ojciec jest bardzo biedny i ciągle potrzebuje mojej pomocy. Latem pasam bydło kilku sąsiadom i otrzymuję za te wynagrodzenie, a oprócz tego pomagam ojcu w pracy. Gdyby mnie zabrakło, musiałby nająć sobie kogoś do pomocy. Muszę więc zostać w domu.

— Jesteś bardzo dobrym synem, kiedy chcesz dla ojca zrobić taką z siebie ofiarę. Postanawiam

jednak i na to poradzić. Przez cały czas twojej nauki, o ile będziesz się dobrze uczył, będę dawał twemu ojcu tyle co rok pieniędzy, ile warta była twoja praca.

Chłopiec nie wiedział, co robić z radości. Upadł przed królem na kolana i w zachwycie wypowiadał najwyższą wdzięczność. Wkrótce też pobiegł do ojca, aby opowiedzieć mu o szczęściu, jakie go spotkało. Biedny włościanin, dowiedziawszy się o tem wszystkim, zabrał syna i poszedł z nim do króla aby podziękować mu za jego dobroć.

Jaś uczył się bardzo dobrze, skończył szkołę, później wstąpił do uniwersytetu, został sławnym adwokatem, i zdobył niezwykłą sławę, nigdy tylko nie mógł zrobić majątku, choć zarabiał bardzo wiele.

Tutaj dziadek przerwał opowiadanie, lecz myśmy nie dali mu jeszcze odpocząć po tak długim opowiadaniu.

— A dlaczego, — zapytałem dziadka, ów adwokat nie zrobił majątku, kiedy zarabiał tak dużo pieniędzy.

— Bo widzicie, dzieci, — odrzekł po chwili dziadzio, ów człowiek zawsze pamiętał, ile dobrego zrobił dlań król, gdy dał na jego wykształcenie. To też wszystkie pieniądze, jakie zarabiał, przeznaczal na wspieranie ubogiej młodzieży szkolnej. Lecz choć nie miał majątku, czuł się bardzo szczęśliwym i często mawiał:



— Ach takbym chciał, aby dzień był jeszcze dłuższy, abym więcej zarabiał. Tyle dzieci potrzebuje nauki, a tu ciągle brak na to pieniędzy.

Wieczorem, gdy wróciliśmy już do domu i leżeliśmy w łóżeczku, marzyłem o tem, aby zostać sławnym adwokatem i mieć dużo pieniędzy na kształcenie ubogiej młodzieży.

Uniwersytet skończyłem, lecz adwokatem nie zostałem. Zostałem nauczycielem.

I obecnie, gdy nieraz bieda mi trochę dokuczy, przypominam sobie opowiadanie dziadka i z pogodną już twarzą idę na lekcje, aby choć w ten sposób spełnić swe szlachetne marzenie dziecięce.

Jeżeli jestem porządnym człowiekiem, to dlatego, że nie sprzedaję się za pieniądze, pamiętając na słowa owego pastuszka-adwokata, o którym wam poprzednio opowiedziałem:

— Pieniądze wówczas mają wartość, jeżeli można za nie zrobić coś dobrego.



Zwieszony obier
Trzy mądre rady.

Pewien bogaty człowiek wyszedł raz do swojego ogrodu. Była właśnie wiosna i kwitły jabłonie. Właściciel ogrodu cieszył się tym widokiem, i był bardzo zadowolony z życia. Wtem — spostrzegł małego ptaszka, który się zaplątał w zastawione sieci.

Gdy się zbliżył do niego, ze zdziwieniem usłyszał, że ptaszek mówi ludzkim głosem:

— Daruj mi wolność — prosił ptaszek. — Na cóż ja ci się mogę przydać? Widok mój nie może ci być przyjemny, bo, jak widzisz, mam szare, zwyczajne piórka. Nie mogę cię bawić śpiewem, bo śpiewać nie umiem wcale. Do jedzenia także nie jestem przydatny, bo mam na sobie zbyt mało mięsa. Natomiast jeżeli mi darujesz wolność, to w zamian za to dam ci trzy mądre rady, które mogą ci się bardzo przydać w życiu.

Właściciel ogrodu wziął w rękę ptaszka i powiedział:

— Jeżeli rzeczywiście nie umiesz śpiewać, to nie przydasz mi się na nic. Ale powiedz mi wprzódy te swoje mądre rady.

— — —
Lecz Corradi wojny nie przeżył, gdyż ciężka, nieuleczalna choroba powaliła go na łożo, z którego sądzono mu było już nie powstać. Umierał przytomnie, a w oczach jego malowała się troska o przyszłość rodziny.

Wdowa, głęboko przejęta śmiercią ukochanego męża, znalazła się w ciężkich warunkach. W czasie bowiem wojny malarz nie mógł nastarczyć na potrzeby domowe i musiał zaciągnąć duży dług na domek.

Gdyby to były inne czasy, możnaby dług ten pokryć przez sprzedanie licznych pozostałych obrazów, lecz o nabywcę było wówczas bardzo trudno.

Wierzyciele coraz natarczywiej zaczęli dopominać się zwrotu pożyczonych pieniędzy, aż wreszcie wystawili na sprzedaż domek wdowy i wszystkie jej rzeczy. Nie pomogły łzy i prośby pani Corradi, aby poczekali jeszcze trochę; domek został sprzedany, a wraz z nim wszystkie sprzęty i obrazy pozostałe po malarzu.

Po zapłaceniu wszystkich długów pozostało nieśczęsnej wdowie wszystkiego kilkaset rubli. Lecz jakże miło było dla niej pomyśleć, że nikt o mężu jej nic złego nie powie, każdy nazwie go uczciwym człowiekiem.

Wdowa wynajęła sobie dwa małe pokoiki na odludnej uliczce, które urządziła jak mogła najlepiej. Roboty przy tem było bardzo dużo, bo wszystko musiała robić sama przy pomocy córek. Na służącą nie było ich stać, a tu jeszcze trzeba było zająć się jakąś pracą zarobkową. Ponieważ dawniej uczyła się

kroju, aby sama módz córkom robić ubranka, więc nauczyła teraz obie dziewczynki kroju i razem z niemi szyla ubrania dla dawnych swych znajomych.

Podczas roboty matka bardzo często opowiadała córkom o ich ojcu, o jego dobroci i szlachetności. Dziewczynki zaś przypominały sobie minione lata i dawne radości życia, nigdy jednak nie narzekały na obecne ciężkie warunki życia, gdyż nie chciały matce robić przykrości.

W czasie tych rozmów matka bardzo często narzekała:

— Ogromnie mi przykro, że nie mam ani jednego obrazu waszego ojca. Żeby choć jeden najmniejszy obrazek! Jakby to miło było patrzeć na niego i wspominać sobie dawne dobre czasy. A i mieszkanko nasze wyglądałoby zupełnie inaczej!

Przyszła wiosna; roboty było więcej, niż zwykle lecz za to i zarobek był znaczniejszy. Oszczędna wdowa odłożyła trochę pieniędzy i postanowiła za tę oszczędność kupić dla obu dziewczynek letnie sukienki. Pewnego dnia wieczorem wyjęła z komody pieniądze i dała każdej córce po sześć rubli, mówiąc:

— Kupcie sobie jutro jakiego niedrogiego materiału na sukienki, to razem je uszyjemy. Wasze ubranka bardzo są już podniszczone.

Marysia i Ania bardzo się z tego ucieszyły i zaczęły rozmyślać, jakiego koloru kupić materiał. Tak przegadały cały wieczór, a następnego dnia rano wybrały się na miasto po sprawunek.

Przechodząc koło jakiegoś domu, zauważyły przybite na nim ogłoszenie, że odbywa się sprzedaż obrazów. Choć nie miały pieniędzy na kupno, weszły jednak wewnątrz do sali, aby przyrzeć się obrazom. Publiczności zebrało się dużo, a wszyscy ubrani byli bardzo elegancko. Dziewczynki stanęły w kącie nieopodal drzwi i z oddali przyglądały się sprzedawanym obrazom.

Patrząc, aż tu kupiec pokazuje niewielki obraz ich ojca i żąda za niego 10 rubli. Był to szkic, robiony na prędcie i nie przedstawiający żadnej wartości.

Jakiś pan dawał 10 rub. 80 kop.

Wówczas Ania, jako śmielsza, wysunęła się na przód i zawołała:

— Daję dziesięć i pół rubla.

Ów pan znów postąpił kilkanaście kopiejek, wreszcie Ania zawołała:

— Jedenaście rubli.

— Nikt nie postąpił więcej, więc obraz przeszedł na własność Ani. Dziewczynki wyjęły pieniądze, odliczyły należną kwotę, zabrały obraz, i z radością w oczach wyszły na ulicę.

— Kochana mamó, zawołały obie dziewczynki razem, wchodząc do domu, — zrobiłyśmy prześliczny sprawunek. Napewno będziesz się cieszyła.

To mówiąc, Ania odwinęła obraz i pokazała go matce.

— Obraz naszego ojca!...

Wdowa długo przyglądała się obrazkowi i z radości zabłysły jej w oczach.

— Tak, rzekła, to jest rzeczywiście jego obraz. Nie przypominam sobie, abym go kiedykolwiek widziała, lecz poznaję jego pędzel. Jest to szkic za ledwie, niewykończony, ale kto, tak jak ja, dobrze zna jego sposób malowania, pozna, że to jego obraz.

To mówiąc, objęła dziewczynki za szyje i serdecznie przytuliła je do siebie.

— O, jakże wdzięczna wam jestem za ten prezent. Ale jakżeż kupiłyście go?

Marysia opowiedziała wszystko od początku do końca.

— Sądźmy, zakończyła opowiadanie, że udam się wyreparować nasze stare ubranka i nie będziemy jeszcze tak bardzo źle wyglądały. A z tego obraz ojca będziemy miały u siebie.

— Tak, macie rację, odrzekła wdowa, to będzie największa ozdoba naszego mieszkania. No, teraz zawieśmy go na ścianie.

Zaczął się wybieranie najodpowiedniejszego miejsca na powieszenie, aż wreszcie obraz zawisną na ścianie, naprzeciwko okna.

Bardzo często w chwilach wolnych, matka wraz z córkami stawały przed obrazem i przyglądały mu się uważnie. Ileż to drogich wspomnień nasuwało im się wówczas do głowy. Przeżywały po raz wtóry całe poprzednie życie i widziały obok siebie swego ukochanego ojca.

W końcu wiosny wdowa otrzymała depezę od ciotecznej siostry, którą bardzo kochała, aby jak naj-

prędzej wybrała się do niej, gdyż jest konająca. Pani Corradi poczyniła wszystkie przygotowania, zostawiła córkom pieniędzy na cztery dni, gdyż na tyle czasu wybierała się w drogę, i następnego ranka Marysia i Ania odprowadziły matkę na dworzec kolei. Pociąg ruszył, dziewczynkom nawinęły się łzy pod rzęsami, gdyż pierwszy raz w życiu rozstawały się z matką,—lecz co robić?

Wróciły więc do domu i postanowiły w czasie nieobecności matki porobić w domu porządki, podczas bowiem zimy mieszkanko nieco się zaneczyściło.

— Wiesz co, Aniu, rzekła Marysia, trzeba wziąć się do roboty. Pomyjemy okna i podłogi, wybielimy ściany, okurzymy wszystko i wytrzepiemy, a jak mama wróci, wszystko będzie inaczej już wyglądało. Wyobrażam sobie, jak mama się ucieszy!

Ania uderzyła z radości w rączki:

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! Ja już dawno myślałam o tem, że trzeba koniecznie zrobić u nas gruntowny porządek. Biermy się więc zaraz do roboty.

Jak postanowiły, tak i zrobiły. Pracowały dwa dni całe, bez chwili prawie wypoczynku. Najprzód z jednego pokoju powynosiły wszystkie rzeczy, pobielily ściany i sufit, jak tylko umiały najlepiej; później pomyły podłogę i okno, a gdy już trochę podeschło, przenieśli wszystko do tego pokoju, a zaczęły odnawiać drugi.

Gdy drugiego dnia nad wieczorem skończyły robotę, Marysia wzięła koszyczek do miasta i poszła na ulicę, aby zakupić trochę prowiantów. Kiedy wróciła, zastała Anię w płaczu i z załamaniem rękami.

— Co ci się stało? zawołała przerażona Marysia.

— Stało się wielkie nieszczęście! Spójrz tylko na obraz ojca.

Marysia rzuciła okiem i w przerażeniu jakby skamieniała. Zrozumiała wszystko! To Ania, chcąc wszystko doprowadzić do porządku, postanowiła obmyć obraz ojca. Lecz obraz wykonany był wodnymi farbami, które zmyły się natychmiast. Z malowidła została wielobarwna plama.

— To prawdziwe nieszczęście! zawołała Marysia, lecz spojrzawszy znów na twarz Ani, zrozumiała, że musi siostrę pocieszyć.

— Chociaż wiesz, dodała, to napewno da się naprawić. Pamiętam doskonale, jak do tatusia przynosili rozmaite obrazy do odświeżenia. Pójdę do którego z dawnych znajomych malarzy, opowiem mu całe nasze nieszczęście, a on napewno zlituje się nad nami i obraz poprawi. Mamy jeszcze dwa dni czasu do przyjazdu mamy, to wszystko na czas urządzimy.

Ania trochę się już uspokoiła i nawet zabrała się do przygotowywania kolacyi, gdy w tem otworzyły się drzwi i weszła niespodzianie do pokoju matka.

— Wróciłam wcześniej, mówiła, rozbierając się, bo cioci zrobiło się znacznie lepiej. A cóż u was słyszać?

To mówiąc, rozglądała się radośnie po odnowionem mieszkaniu, kiedy jednak spojrzała na Anię, przelęknęła się bardzo i zawołała:

— Co ci jest, dziecko?

— Ach, mamó, stało się wielkie nieszczęście! Spójrz tylko na obraz tatusia!

Pani Corradi spojrzała i zrozumiała wszystko. Serce ścisnęło jej się z bólu, lecz widząc nieszczęście córki, nie już nie chciała mówić, wzięła tylko zniszczony obraz w ręce i podeszła z nim do okna. Przyglądała mu się bacznie i zauważyła, że z pod zmytej farby wygląda dłoń, malowana olejno. Ponieważ zaś wiedziała, że mąż miał zwyczaj na dawnych swoich obrazach, do których nie przywiązywał większej wagi, malować nowe, wzięła więc zwilżoną gąbkę i zaczęła zmywać wodne farby.

Po chwili odmyła już całą postać ludzką, a wkrótce olejny obraz ukazał się w całości.

— Chodźcie dzieci, zawołała uradowana, widzicie, co tutaj jest?

To mówiąc, pokazała im grupę, która przedstawiała jakąś rodzinę.

— Ale w każdym razie to nie jest robota waszego ojca, mówiła, przyglądając się obrazowi bacznie. Jego bym odrazu poznała.

— Zdaje mi się, mówiła znów, że to jest obraz jakiegoś dawnego włoskiego malarza. Trzeba będzie

z tem pójść do którego ze znajomych, aby mi powiedział, czyj to jest ten obraz?

Nazajutrz rano wybrała się na miasto do jednego z przyjaciół męża. Gdy weszła do niego i pokazała mu obraz, malarz zawołał:

— Skąd pani ma ten skarb?

— Jakto skarb? zapytała zdziwiona.

— Wszak to jest obraz Rafaela; zapewniam panią; wszak cię na tem znam, dodał, gdy spotkał się z niedowierzającym wzrokiem p. Corradi.

Wdowa opowiedziała mu całe zdarzenie.

— Ach, rozumiem teraz już wszystko! zawołał malarz. Pamięta pani starego Szlegla? Posiadał on śliczny zbiór obrazów, a i ten był jego własnością. Kiedy rozpoczęła się wojna, Szlegiel obawiając się, aby, w razie zdobycia miasta, nie zabrano mu tego drogiego obrazu, poprosił pana Corradiego o namalowanie na nim jakiegoś krajobrazu wodnymi farbami. Te bowiem, jak pani wie, łatwo zmyć się dają. Mąż pani musiał widocznie zobowiązać się do tajemnicy, skoro nikomu o tem nic nie mówił, a Szlegiel również milczał skrycie.

Pan Corradi umarł w czasie wojny, a wkrótce po nim nagle zmarł i Szlegiel. Ponieważ zaś Szlegiel nie zostawił dzieci, więc spadkobiercą jego został kapitan Rychter, który zupełnie nie znał się na malarstwie, i postanowił pozbyć się zbioru obrazów. Sprzedaży podjął się handlarz obrazów, i wtedy to córki pani nabyły obraz, który pani mi przyniosła.

— No, to muszę, rzekła wdowa, zwrócić obraz panu Rychterowi. A nie wie pan, jakby się można dowiedzieć jego adresu?

— O, to jest prawie niemożliwe! rzekł z dziwnym uśmiechem malarz. Kapitan bowiem zginął w Afryce od kuli jakiegoś dzikusy, nie pozostawiając nikogo z rodziny. Obraz więc prawnie do pani należy.

Wdowa słuchała tego wszystkiego, jakby bajki

— Czy ja mogłam się tego spodziewać? mówiła cichym głosem.

— Tak, tak, potwierdził malarz. Zresztą, słusznie się los uśmiechnął do pani.

— Mam do pana prośbę, ciągnęła dalej wdowa z nieśmiałością. Czyby pan nie chciał zająć się sprzedaniem tego obrazu? Pan ma odpowiednie znajomości.

— Ależ z całą przyjemnością, zapewnił malarz.

Po krótkiej jeszcze pogawędce pani Corradi pożegnała się z gospodarzem i wróciła do domu. Gdy opowiedziała córkom całe zdarzenie, te nie chciały wierzyć własnym uszom.

Minęło kilka tygodni, i malarz zawiadomił panią Corradi, że znalazł nabywcę, który dawał osiem tysięcy rubli.

Pani Corradi najchętniej przystała na cenę i wkrótce otrzymała pieniądze.

Odtąd życie popłynęło im jakoś szczęśliwiej. Marysia i Ania zaczęły się po dawnemu uczyć, a pra-

cowaly bardzo usilnie, aby powetować stracony czas.

Mineło kilka lat... Z obu panienek wyrosły już dorosłe panny, i obie mają narzeczonych. Jeden z nich—to znany malarz, a drugi—nauczyciel. Wkrótce będzie ich ślub, poczem wszyscy razem wraz z panną Corradi mają zamieszkać w dawnym domku, gdzie oni mieszkali z ojcem.

Kilka dni temu p. Corradi dokonała kupna owego domku, a teraz przystępuje do odnowienia. Mama będzie mieszkała w dawnym swoim pokoju, którego okna wychodzą na milutki ogródek.

Narzeczeni Ani i Marysi postanowili zrobić mamie miłą niespodziankę: oto wyszukali dwa obrazy p. Corradiego i nabyli je. Tymczasem jednak obrazy te pozostają w ich kawalerskich mieszkaniach, kiedy jednak pokój mamy będzie już zupełnie gotowy, potajemnie dostaną się do niego i na ścianie powieszą oba obrazy. Toż to będzie dopiero wielka radość!

A może nie wiecie, że narzeczony Ani, malarz, jest dawnym uczniem Corradiego? Pamięta on dobrze szczęście domowe swego mistrza i ma nadzieję, że i im będzie z sobą również dobrze.

A znając Anię i Marysię, muszę was zapewnić, kochane dzieciaki, że tak będzie napewno.

Try mądre rzeczy
Zniszczony obraz.

W pewnem wielkiem mieście żył znany malarz Corradi. Obrazy jego, cenione przez znawców, znajdowały chętnych nabywców, to też malarzowi działo się nieźle. Nabył nawet na bocznej, lecz pięknej uliczce domek z ogródkiem, i osiadł w nim razem z żoną i dwiema córkami: Maryą i Anną.

Życie płynęło mu spokojnie i szczęśliwie przy pracy, którą kochał, i wśród rodziny, otaczającej go niezwykłą miłością.

Lecz czasy zmieniają się. Oto potężny sąsiad wypowiedział wojnę i dla całego kraju rozpoczęły się chwile bardzo ciężkie. Odbiło się to, naturalnie i na powodzeniu obrazów malarza, który nic nie mógł sprzedać. Nie porzucił jednak pracy, lecz malował wciąż wytrwale, w tem przekonaniu, że gdy nastanie pokój, liczne jego obrazy znajdą nabywców, i rodzina jego zyska na czarną godzinę większy jakiś kapitałik.

Na to odpowiedział ptaszek:

— Nie żałuj nigdy tego, czego już nie możesz naprawić.

Nie pragnij tego, czego nie możesz dostać.

Nie wierz w to, co jest niemożliwe.

Usłyszawszy rady ptaszka, właściciel ogrodu rzekł:

— Istotnie—nauczyłeś mię swemi słowami, jak należy unikać smutku. Rady twoje są mądre. Dla tego darowuję ci wolność.

To mówiąc uwolnił ptaszka z sieci i puścił go na swobodę.

Ptaszek zatrzepotał wesoło w małe żwawe skrzydelka, i, usiadłszy na gałązce kwitnącej jabłoni, zaczął się śmiać wesoło.

Właściciel ogrodu zdziwił się bardzo i podniósł głowę do góry.

— Czegóż ty się śmiejesz? — zapytał ptaszka.

— Z radości, że odzyskałem swobodę. Ale oprócz tego śmiać mi się chce z głupoty ludzkiej. A przecież ludzie mówią, że są najmądrzejszymi stworzeniami na świecie. Gdybyś był rzeczywiście najmądrzejszym stworzeniem, to zostałbyś i najbogatszym człowiekiem.

— Jakim sposobem? — zapytał właściciel ogrodu, patrząc ze zdziwieniem na ptaszka.

— Gdybyś, zamiast darowować mi swobodę, wsadził mię raczej do klatki. Dowiedz się bowiem, że ja codzień znoszę jajko brylantowe, wielkości kurzego. Pomyśl tylko, jakie skarby miałbyś w swoim posiadaniu.

Właściciel ogrodu drgnął na całym ciele, jak rażony piorunem. Chwycił się w rozpaczy za włosy i targał je z całych sił.

— O ja głupiec nieszczęsny — wołał płaczliwym głosem — cóżem uczynił. Oto mogłem zostać takim bogaczem, jakiego dotąd nie było jeszcze na świecie. Mogłem sobie kupić królestwo i zostać królem. Mogłem mieć złote pałace, wspaniałe ogrody, powozy, konie. Mogłem się ożenić z najpiękniejszą kobietą na świecie. Mogłem wszystko. A oto teraz jestem nie tylko nędzarzem, ale i głupcem w dodatku. Głupcem jestem, którego wyprowadził w pole pierwszy lepszy ptak, stworzenie bezrozumne.

Tak zwymyślawszy samego siebie, właściciel ogrodu uspokoił się nagle. Patrzył chwilę w ziemię, jakby rozmyślając nad czemś głęboko; wreszcie zbliżył się do drzewa, na którym siedział ptaszek, i rzekł doń słodkim, jak mógł najśłodszy głosem:

Ptaszku śliczny... Tak mi cię żal. Ty myślisz pewno, że będziesz szczęśliwy na swobodzie. Jakże się mylisz! Pomyśl tylko — wiosna i lato prędko miną, a potem przyjdzie jesień; przyjdzie zima z mrozami i zamieciami. Rzeki i strumienie zamarzną — i nie będziesz mógł znaleźć nigdzie ani kropelki wody, któraby ugasiła twe pragnienie. Śnieg pokryje pola; nie zostawi dla ciebie ani ziarenka. Gniazdko twoje rozmiecie wiatr — i umrzesz w końcu z głodu i zimna.

Ja zaś zbuduję ci domek ciepły, uścielę miękkie gniazdko, w którym będzie ci dobrze i wygodnie. Będziesz miał pod dostatkiem lnianego siemienia, bia-

łej bułeczki, cukru, wody—czego tylko zapragniesz. Im ja będę bogatszy, tem i tobie będzie lepiej.

Chodź przeto do mnie, rzuć marzenia o swobodzie. Pozwól się złapać i zamknąć do klatki. Sam zobaczysz, że u mnie będzie ci dużo lepiej, niż na drzewie, gdzie cię w dodatku może zjeść kot lub jastrząb.

Tak mówił właściciel ogrodu. Ptaszek tymczasem śmiał się coraz głośniejsze, coraz głośniejsze. Im bardziej smucił się człowiek, tem weselej śmiał się ptak.

— Czegóż się śmiejesz ze mnie? — zapytał właściciel ogrodu.

— Jakże się nie mam śmiać? — odpowiedział ptaszek. — No pomyśl tylko: darowałem mi swobodę dlatego, że ci dałem trzy mądre rady, jednak jesteś taki głupi, że nawet nie potrafisz postępować według tych rad.

Ledwie darowałem mi wolność, a już żałujesz tego, coś uczynił.

Pragniesz, żebym wrócił do ciebie i dobrowolnie pozbył się swobody, która jest największem szczęściem życia.

Wreszcie wierzysz, że ja znoszę brylantowe jaja wielkości kurzych, chociaż sam jestem nie większy niż kurze jajo. I dziwisz się jeszcze, że się śmieję z ciebie!

To mówiąc — ptaszek załopotał w skrzydelka i odleciał daleko. Po chwili zniknął zdumionemu właścicielowi ogrodu z oczu.

A10-

3674/80

30000,-

11872 MKD

